NUMER POJEDYŃCZY 10 K.

ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY
TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY
I SPOŁECZNY

REDAKCJA i
ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. MAZOWIECKA № 5
TEL. № 226-83.

№ 21

WARSZAWA
DNIA 12 MAJA 1912 R.



Wojciech Piechowski. (Tow. Z. S. P.) Do Polski.

Źródła moralności.

Kwestja moralności jest na porządku dziennym rozważań ludzkich od niepamiętnych czasów. Zajmowali się nią prawodawcy żydowscy, zajmowały się ludy Babilonu, Indji i Egiptu. W filozofji greckiej problem ten był centralnem poniekąd zagadnieniem poznania ludzkiego. Sokrates oparł na nim, wedle podań Platona, cały system swoich rozważań filozoficznych. W czasach średniowiecznych i przy zaczątkach nauki współczesnej zajmowali się etyką zarówno włosi, jak i francuzi, niemcy i anglicy. Dosyć przypomnieć, że najkapitalniejsza praca 17-ego wieku nosi tytuł „Ethica", autorem jej zaś jest Baruch Spinoza. Na początku znów wieku 19-go fundament dla rozważań moralnych kładzie Imanuel Kant, którego słynna „Krytyka praktycznego rozumu" do dziś dnia cieszy się w pewnych kołach uczonych nienaruszalną, autorytatywną powagą. Zajmowano się i u nas w Polsce kwestjami moralnemi. Rozumie się, że nauka nasza była

zwierciadłem kierunków, które panowały na zachodzie. Najbardziej jednak sympatji w uczonych polskich wywoływała metoda badaczy idealistów, filozofów pokrewnych duchem w swoich rozważaniach tej szkole mędrców, którzy na sztandarze swoich prac wypisali godło obowiązku, hasło sumienia.

Lecz oto znalazł się wśród myślicieli pisarz, który zerwał tę nić tradycyjnej naszej teorji moralności. Już od zarania swoich badań przeciwstawiał idealizmowi—swoje dokumenty kryterjoznawcze. Ogłasza bowiem Świętochowski już w roku 1877 swoją rozprawę doktorską „o powstawaniu praw moralnych“ i od tej pory nie ustaje w pracy nad gromadzeniem materjałów, które wreszcie ogłosił w roku bieżącym pod tytułem, który wypisaliśmy, jako nagłówek naszego artykułu. Trzeba dodać, że jest to praca oryginalna nie tylko dlatego, że zjawiła się po polsku. Gdyby ogłosić ją drukiem po angielsku, lub francusku zainteresowanoby się nią, jako jednem z najciekawszych ujęć gienezy moralności. Dziś bowiem na tłach socjologicznych rozpatrują powstanie faktu moralnego tylko tacy badacze, jak Sutherland, Westermarck, Dürkheim. A imiona to przecież pierwszorzędne, badacze znani ze swojej pracowitości i powagi.

Świętochowski nie zgadza się z wszystkiemi dotychczasowemi metodami badań moralnych. Właściwie wszystkie dotychczasowe badania, nie były doświadczalnemi zdobyczami. Były jeno tylko przykazaniami, wyprowadzonemi z pewnych założeń, które każdy z moralistów stawiał już u fundamentów swoich rozmyślań. Tak, naprzykład, utylitaryści angielscy stawiali na naczelnem miejscu „pożytek“ i dopiero biorąc wszystko pod kątem tego pożytku nadawali rzeczom wartość ujemną lub dodatnią. Doświadczalnej metody w dziedzinie etyki nie stosowano zupełnie. I jeżeli niekiedy zjawiały się bardzo ciekawe roztrząsania psychologiczne na temat wartościowania, to były one nie związane niczem z metodą. Wynikały one z talentu obserwacyjnego autorów, ale nie z ich metody naukowej. To samo da się powiedzieć o szkole idealistycznej. Brała ona godło „Dobra“ jako fundament rozważań i od definicji tego pojęcia uzależniała później cały tok swoich konkluzji. I jeżeli brała jakieś motywy psychologiczne pod uwagę, to też odgrywały one rolę wtórną w całej koncepcji naukowej.

Otóż Świętochowskiemu wydaje się taki sposób rozważań, jako fakt zupełnie nieodpowiadający wymaganiom współczesnej nauki. Dąży przecież wiedza współczesna do badań doświadczalnych, pragnie na rusztowaniach faktów oprzeć swoje hypotezy, żąda niezbitych dowodów, gdy przyjmuje jakieś twierdzenie za prawo. Jasne więc jest, że definicja „Dobra“, lub też „Pożytku“, czy „Przyjemności“ i „Piękna“, jako podwalina rozważań wartościowych nie mogła wystarczyć Świętochowskiemu. Co więcej, jako człowiek zapatrzony tylko w oblicze Prawdy wyrzeka się on jakichbądź rozkaźników, nie chce w swojej książce dawać przykazań moralnych. Możliwe, że jako publicysta wypowiedziałby wyraźnie, co uważa za dobre lub złe, lecz jako mąż nauki pragnie tylko wyświetlić gienezę powstawania tych nakazów czy też praw, które dziś nazywamy „moralnością“. Jest on więc na przeciwległym biegunie w stosunku do tego, co zazwyczaj czynili etycy. Zwykle polecali oni taki lub inny sposób rozumienia dobra. Jemu natomiast chodzi o rzecz zgoła odmienną. Co jest dobrem i złem absolutnem nie chce on odpowiedzieć. Wyraźnie zaznacza, że każdy moment historyczny, każda rasa, każdy niemal naród, a bardzo często i klan tworzą swój własny system nakazów. I dlatego należy zbadać rozwój moralności w pochodzie ewolucyjnym wieków. Od zalążków cywilizacji, ba, od zalążków społeczeństwa, aż po dzień dzisiejszy. Poleca więc Świętochowski badanie moralności na tle ewolucji socjologicznej.

Skoro jednak w ten sposób postawiono kwestje, należy odszukać jaki czynnik, któryby kojarzył, tworzył to, co po wiekach rozwoju znamy pod nazwą „społeczeństwo“ „naród“ lub „państwo“. Świętochowski w danym wypadku posługuje się znaną tezą biosocjologiczną, która twierdzi, że instynkt płciowy był najpotężniejszym sprzymierzeńcem tworzenia się takich instytucji, jak rodzina, klan, horda, a więc należy też ten instynkt wziąć za wytyczną kształtowania się wartościowników i uczuć moralnych. Na tem więc założeniu stawia ustosunkowania moralne co do własności, co do kobiety, małżeństwa, czystości, dzieci, miłości, swojactwa czy też obcości. Następnie przechodzi od instynktownych zwyczajów do religji, do praw przypisywanych, jako nakazy moralne. Konkluzja Świętochowskiego streszcza się w tezie, że człowiek dziki nie rodzi się z „instynktem“ moralnym, jak znów człowiek naszej kultury nie rodzi się z sumieniem. Dopiero wpływ takiego czy innego środowiska decyduje o jego uzdolnieniach i sądach. Jako przykład podaje Świętochowski następujące twierdzenie.

„Syn Kanibala australskiego, wychowany w Europie, może się brzydzić ciałem ludzkiem. Europejczyk, wychowany wśród Kanibalów australskich, może je zjadać ze smakiem. Należy jednak wątpić, żeby ten australczyk, nawet najstaranniej wychowawany, zdołał wznieść się *na najwyższy poziom* moralny, a ten europejczyk zdziczał zupełnie“ (Str. 264).

Ta końcowa uwaga oddaje jednak sprawiedliwość dziedziczności w pewnym stopniu. Zastrzega się tylko przed mniemaniem, że człowiek kultur niższych może dla kultur wyższych uczynić coś takiego, coby przez swoje rozkazniki kasowało, rozwijało, sta-

wiało wyżej nasze poczucie i świadomość moralną. Trzyma się Świętochowski w tem twierdzeniu ściśle metody biogienetycznej, która nie uznaje zmian gwałtownych, lecz tylko drobne, rozwojowe manipulacje, odchylenia, aktywności. Stąd to, jak naprzykład żaden zoolog w klasyfikacji nie wyprzedzi ryby przez ssaki, lecz przedewszystkiem ryby, a później weźmie pod uwagę ssaki, tak i Świętochowski ściśle przyrodniczo rzecz biorąc, nie może przypuścić żeby ludy dzikie mogły odrazu w swojem życiu duchowem uczynić krok, któryby zdystansował ludy kulturalne.

Możliwe, że w świetle rozmyślań samodzielnych nie wszystkie tezy Świętochowskiego są do przyjęcia en block. Ale jest rzeczą nie podlegającą żadnej dyskusji, że książka jego jest nadwyraz pożyteczną i ciekawą dla naszych studjów. Czytelnik bowiem każdy znajdzie w niej wiele materjału etnograficznego, a co najważniejsze zrobił Świętochowski doskonały konspekt systemów moralnych w ich historycznym rozwoju. Mamy na kilkunastu stronicach zwarcie i rzeczowo przedstawione całe dzieje myśli moralnej. Od Greków aż po dzień dzisiejszy. Zdaje się, że nie trzeba dodawać, jak wielką jest zasługa Świętochowskiego dla pedagogiki w tym kierunku.

Praca Świętochowskiego jest jedyną u nas polską książką, która bada „Źródła moralności“ u podstaw socjologicznych bytu. Należy się z nią zaznajomić, a przedewszystkiem zwrócić uwagę na metodę, którą on poleca. Już we wstępie niemal znajdziemy wyraz dla tej różnicy, którą on podkreśla w swoich dociekaniach. Chodzi mu w badaniu nie o stworzenie nowego systemu moralności, lecz o opis zjawisk moralnych, z którychby można było w przyszłości wydedukować prawa. Swoją metodę nazywa Świętochowski etologją, odróżniając tym określnikiem swoje badania od „Etyk“, ktore dążyły tylko do dania rozkaźników, lecz nie miały na względzie odkrycia praw moralnych.

Podkreślam specjalnie to założenie jego „Źródeł moralności“. Robię to umyślnie, gdyż nie chcę, by w natłoku opinji miało zginąć to, co uważam za rzecz najcenniejszą w dociekaniach ludzkich. Każda bowiem teorja ma o tyle sens, o ile zbudowana jest wedle pewnych, krytycznych metod. Czytelnik więc chcący pożytecznie jakąś książkę przeczytać, musi specjalnie zwrócić na to uwagę. Niekiedy bowiem poszczególny fakt wyda się nam za mało uzasadnionym, niekiedy nie zgadzamy się z tym lub innym sądem, ale dopiero gdy, nie zgadzając się czy też zgadzając, przetrawimy metodę jakiegoś badacza, rozszerzamy horyzont naszego poznania. A to przecież najważniejsze, dlatego czyta się książki, dlatego pracuje i myśli cała ludzkość.

Bo jeżeli nawet ktoś jest zdania, że moralność jest nam dana od urodzenia, jak słuch lub wzrok, jeżeli ktoś nawet ufa, że Dobro czy Zło dla wszystkich szerokości gieograficznych zachowuje swoją nienaruszalną, świętą wartość, to wychodząc nawet z tych założeń, musi dla pracy Świętochowskiego mieć kult i szacunek, choć ona materjałami skupionymi godzi w same założenia jego opinji. „Źródła moralności“ można doszukiwać się w jakimś specjalnym zmyśle moralnym, którym człowiek jest obdarzony tak, jak głosem lub węchem, ale stanowczo należy dać posłuch metodzie Świętochowskiego, gdyż zwalcza ona wszelkie „przypuszczenia“ a daje natomiast fakty, etnograficzne spostrzeżenia i uwagi dotyczące zwyczajów ludów o pierwotnych kulturach. Wyjaśnia to niewątpliwie gienezę wielu faktów. Porównawczość stanowczo wiele wyświetla, a więc nie uchylajmy się od czynienia paraleli. Niech na czytanie książki Świętochowskiego nie wpływają też nasze przekonania polityczne! Jest bowiem wielu ludzi, którzy nie zechcą go czytać tylko z tego względu. Otóż należy tę polityczną idjosynkrazję precz odrzucić, gdy chodzi o książkę naukową. Trzeba ją czytać bez żadnych, politycznych uprzedzeń. Należy tylko miłość dla prawdy mieć przedewszystkiem na względzie. A to będzie napewno najlepszym przewodnikiem po nurtach rozmyślań Świętochowskiego.

Zresztą gdzie chodzi o myśl—tam ustać muszą chwilowe zawiści. Uczyć się musimy zarówno od wrogów, jak od przyjaciół. Dopiero bowiem taka nauka hartuje, wykuwa na obydwie strony miecz naszej walki o byt.

Kto więc chce się uczyć — niech czyta książki nie tylko autorów należących do jego obozu, czy też narodu. Wszystko poznać trzeba! Poznanie bowiem zbogaca nasze życiowe doświadczenia, a one dopiero dają naszym sądom powagę. „Źródła moralności“ — niech będą pierwszym krokiem dla tych, co się opierali dotychczas na mahometańskiej maksymie: „Należy spalić te księgi, bo skoro w Aleksandryjskiej bibliotece jest coś mądrego—mamy to w naszym Alkoranie“.

I spłonęła tedy królewska książnica dorobku ludzkiego, gdyż zaślepienie i fanatyzm grały tam decydującą rolę. A nam przecież tego czynić nie wolno!

Eustachy Czekalski.



Wojciech Piechowski. (Tow. Z. S. P.) Pastuszka.

WACŁAW GĄSIOROWSKI.

14)

WOJNA NARODÓW

powieść historyczna z epoki napoleońskiej.

Aż nagle w prostackim umyśle Benoit'a zaświecił pozłocisty, kiciasty szyszak. I szyszak ten prężył się jak struna, rychtował i dumą spływał, że oto wolno mu trwać za plecami gieneralskich mundurów, że oto i on pławi się w promieniach, które biją od szarego, mizernego surduta. Benoit pod brzemieniem tego widzenia ugiął się, w pałąk zgiął. W tejże chwili pyszna, wymuskana twarz młokosa-podoficera spojrzała wyniośle z pod szyszaka w stronę, kędy, w mrowiu bagnetów uwięziony, trwał on sam, Benoit, szarak linjowy, dźbło, okruszyna bezimienna jednego korpusu...

Sierżant, pod wrażeniem tego widzenia, rzucił się na hrabiego, zatarmosił nim i byłby go roztrząsł na miazgę, gdyby Marta nie uczepiła mu się ramienia.

— Przez litość — co czynisz!!.

Benoit tchnął świadomiej.

— Wypatroszę was, szelmów! Gnata całego nie ostawię!

— Co wy — co wy! — Zastanowienie miejcie! — Samego siebie człek by klął...

— Milcz, wywłoko!

— Aby dajcie mu już!

— I ciebie nie minie—rusz aby ozorem! Psiawiary!

Sierżant kopnął pogardliwie, zwinięte u jego nóg, ciało Luiggiego i odszedł do ogniska.

Marta pochyliła się nad skowyczącym Luiggim. Baron, który był umknął do nory, — zezował z ciemni, nie ważąc się poruszyć.

Cisza zaległa obozowisko maruderów.

Niebo ciemniało. Dymiące leniwie niedopałki głowni krwawemi syczały skrami.

Benoit tymczasem pierwszy zbył się rankoru, bo oto spokojniej spojrzał, poprawił gałganów, które mu głowę omotywały, zaczem jął wygrzebywać śnieg, okrywający sanie, i majstrować coś około powrozów uprzęży.

Marta, w lot postrzegłszy udobruchanie się sierżanta, przyłasiła doń nieśmiało.

— Słuchajcie...

— Czego ci? — Ładuj się do budy. Noc.

— Ja też, ale bo pozwolilibyście się napić. Luiggi zębami szczęka...

— Niech go sobie zatrzęsie.

— Zadaliście mu tęgo.

— I źle, że jemu tylko.

— No, co tam, nie skąpcie, mamy ruszyć... Choć łyka wódki.

— Nie dam! — warknął Benoit — chociaż — dodał po przestanku — co się mam wodzić. Wam ubędzie a nie mnie... Bierz jemu, bierz sobie. Naści manierkę. Tocz, ile ci się podoba!

Sierżant smyrgnął blaszanką. Marta oburącz ją porwała i rzuciła się do nory na odgrzebywanie baryłki.

Ostry zapach okowity rozszedł się przy ognisku. Manierka stukotała raz za razem pod czopem baryłki. Marta spierała się z baronem, hrabia, leżący opodal, przyczołgał się do otworu nory. Zgiełk wzmagał się, nabierał zadufania.

Benoit, jakby nie zauważył rabunku, jakby nie postrzegł, że Marta już piątą bulgocze manierkę. Benoit wydawał się być cały pochłoniętym składaniem postronków. Mimo to słuch sierżanta czuwał, bo gdy manierka w ręku Marty skręciła się przy otworze czopa a okowita chlusnęła w śnieg,— zerwał się, chwycił za baryłkę i ostatek płynu uratował od zmarnowania.

— Daj jeszcze, daj królu, daj gienerale!— naprzykrzała się z pijackim uporem Marta.

— Macie dosyć.

— A nie, damie się nie odmawia. Powiedz baronie... lecz co tobie? Patrz, Luiggi!.. Patrz, lodów mu się zachciało...

Baron, który chłonął śnieg, nasączony rozlaną okowitą zakrztusił się z zadowolenia.

— *Ja wohl*... lody—cha-cha!..

— Fi, — co za głupi koncept! — Lecz ty, Luiggi, czemu nie mówisz? Powiedz, że mnie kochasz. Albo czekaj, wyznam ci swą miłość jak wiesz, jak w tej sztuce, tej... aha... Dusza moja nieśmiało drżąca w blaskach oczu twych miesiąca spływa ku tobie Gastonie.—Albo czekaj.—O luby mój, o luby mój!..

— Głowa, głowa! — bełkotał hrabia, cisnąc oburącz skronie.

— Całunkiem ukoję ból srogi! — zaintonowała Marta. — Pieszczotą nagrodzę cierpienia!..

— *Herr... Oberleutenant Baron von Beust!* — zaskrzeczał baron, tarzając się po śniegu.

— Odejdź, ordynusie!

(d. c. n.)

TRENY.

Cichych, przeczystych łez zalani rosą...

...Cichych, przeczystych łez zalani rosą,
Na księżycowych skrzydeł srebrnym puchu,
W sennym gwiaździstych eterów podmuchu,
Krwawy ból Polski przed tron Boga niosą...

A z nimi smutny, żałobny Anhelli,
Z gwiazdą niedoli narodu nad głową,
W kosmicznych pyłów dal djamentową
Płynie w widmowych, srebrnych skrzydeł bieli...

W ciszy wszechświata lodowatej, głuchej,
W mistycznym, gwiezdnym Bytu oceanie,
Aniołów Polski słychać ciche łkanie
I szemrzą skrzydeł księżycowych puchy...

Niby srebrzyste, astralne żórawie,
Kwilą żałośnie nad gwiezdną otchłanią
Na ciosy, które pierś Ojczyzny ranią,
I na mgły smutku, co Ją słonią łzawie...

Jakżeście smutnej mojej duszy miłe!..

...Jakżeście smutnej mojej duszy miłe,
Śnieżyste, wonne, drzewne kwiecia puchy,
Co, jak zwiewane przez Marzenia duchy,
Cicho padacie na ziemię — mogiłę!..

Jakże tych chłodnych płatków jedwab miękki
Twarz moją bladą, łzawą mile pieści,
Jak ulgę niesie mej krwawej boleści,
Niby muśnięcie ducha zwiewnej ręki!..

Jakże te ciche łzy, łzy dobre, ciepłe,
Któremi w boskim tym poranku prószę,
Wiosennym deszczem obmyły mą duszę,
Ogrzały serce me, od bólu skrzepłe!..

Jakże anielską, śnieżną jest ta chwila
Wszechukochania i wszechprzebaczenia!..
Jakże gałązka, na której się spienia
Biały puch kwiecia, z wiatrem się pochyla!..

Wacław Wolski.

MEDAL NA CZEŚĆ PROF. IGNACEGO BARANOWSKIEGO.



Modelował Wincenty Trojanowski.
2/3 naturalnej wielkości.
(Patrz № 20 „Złotego Rogu", artykuł „Uczczenie zasług prof. Baranowskiego" z wizerunkiem jubilata).

MACIEJ WIERZBIŃSKI.

2)

ECHO WIOSNY.

NOWELA.

II

Wieczór zastał pannę Natalję nad stosem kajetów. Pochylona nad nimi chmurnem czołem, czytała, kreśliła, poprawiała z jakąś zaciętością osoby, która jaknajprędzej pragnie pozbyć się niemiłego zajęcia.

Wreszcie odrzuciła ostatni zeszyt, odetchnęła, zapaliła papierosa i przymrużonemi oczyma zapatrzyła się w płomyk lampy.

Otaczała ją cisza nocna — pustka. Osamotnienie życiowe zajrzało jej w źrenice i uczucie buntu szarpnęło ją za serce.

Tamara budziła w niej zwykle przyjazne uczucia, wnosiła bowiem z sobą pogodę i ciepły prąd bujnego życia. Z przyjemnością przeto powitała koleżankę. Lecz tego wieczora trawiła ją niechęć do „przyjaciółki", chwilami jakaś tępa nienawiść wzbierała w krtani wobec uroczej gruzinki.

Porywała ją chęć bicia, chłostania Tamary za to, że śmiała narzucać się jej oczom w pełnym rozkwicie swej kobiecości, naigrawać się z jej brzydoty swą krasą, zaćmiewać ją, pognębiać i szydzić z jej doli swem zadowoleniem i optymizmem z zdrowego organizmu płynącym. I buntowało się w niej wszystko przeciwko niesprawiedliwemu losowi, co rzucił pod nogi „wszystko" tej istocie małego pokroju, tej kobiecie przyziemnej, płytkiej, ślizgającej się po powierzchni życia, niezdolnej do wielkiego uczucia.

Mała dusza! Słabe serce! Wrosła w grunt burżuazyjny, pełzająca po bruku pospolitości, Tamara nie umiała odczuć, co za dramat rozgrywa się w sercu Stefana, nie umiała kochać, wznieść się mocą uczucia ponad poziom swego otoczenia, zerwać pęty pojęć filisterskich. Głucha na potężne wołanie serca w rozterce, nie zdobyła się na krok stanowczy, wielki, nie wyratowała ukochanego z topieli — zdeptała kwiaty swej wiośnianej miłości.

Natalja nie wątpiła ani chwili, że na miejscu Tamary, rzuciłaby wszystko na wezwanie ukochanego, bez troski o jutro, o ludzi — zapominając, że wówczas nie byłaby jeszcze dwudziestosześcioletnią kobietą trawioną głodem miłości.

A wskrzeszony przez wyobraźnię portret Stefana, wydał się nad wyraz ponętnym. Znała dobrze tego miłego, ładnego chłopca. Jeżeli wówczas nie ozwalo się w jej sercu śmielsze dlań uczucie, to może dlatego jedynie, że należał on wyłącznie i zupełnie do Tamary, nie odstępował od jej boku, inne panny uważając jedynie za przejściowe, zbyteczne tło.

Musiał to być teraz istotnie przystojny mężczyzna... Dość wysoki, trochę sztywny, z ładną złotawą brodą i sympatycznemi, niebieskiemi oczyma — łagodny, uprzejmy, powolny wobec życzeń kobiety. Już to matka natura nie wyposażyła go męską samoistnością. Przeciwnie, przepoiła go snadź słowiańską inercją życiową, jeśli niby liść wiatrem pędzony bez oporu, pozwolił wziąć się za łeb pierwszej lepszej kochanicy z bruku, powieść do ołtarza i nie zdołał w ciągu lat kilku uwolnić się od niej, wyzbyć tej kuli u nogi!

Może dlatego, że nie spotkał kobiety, która stanęłaby wpoprzek na drodze życia jego i pragnęła go zdobyć z napięciem woli i z przebiegłością niewiasty. A nie byłoby to chyba trudno!.. Mężczyzna może być lodowcem a jednak stopnieje w ciepłej dłoni kobiecej, w fajerkowych blaskach pochlebstwa i w promieniach miłości. A pomadkowe serce Stefusia...

Ach, gdyby można się z nim spotkać!.. Pytanie, czy nie dałby się pocieszyć, nie zapomniał o nieszczęściu domowem, nie poszedł za głosem syrenim, ujęty zgrabnie w sieć miłosną?..

Z pewnością...

Trzeba tylko chcieć, mocno, niezłomnie chcieć! Jedynie te kobiety nie znajdują mężów, które nie posiadają w sobie dostatecznych zasobów magnetycznych—nie promieniują potężnem upragnieniem.

Nagle przed nauczycielką zapomnianą przez życie, zaróżowił się brzask jakiś...

Podniosla się z siedzenia, przeszła po pokoju, jakby w śnie sonambulicznym, i stanęła przy stole, skamieniała w zamyśleniu.

Długo tej nocy sen nie kleił jej powiek, myśli rozfalowane kłębiły się, układały w sploty, wyzłocone nadzieją. Potem z wytężonem skupieniem ministra, redagującego notę dyplomatyczną, stylizowała list...

Nazajutrz powstała podniecona, zelek-

tryzowana przedsięwzięciem i po południu, starając się naśladować charakter pisma Tamary, kreśliła na błękitnej ćwiartce papieru, woniejącej fjołkami następujące słowa:

Panie Stefusiu!

Ciekawam, czy pan zaziera czasem w karnet pogrzebanych wspomnień warszawskich i w jakiem ogląda je pan świetle. Niemniej ciekawam, czy znalazł pan w życiu szczere, potężne, ofiarne serce, zdolne ocenić go, kochać. Czy pan szczęśliwy?

Pytam o to jako dawna znajoma, której imienia nigdy pan się nie domyśli i której pan nigdy nie ujrzy — jako przyjaciółka, znająca dzieje jego serca, sympatyzująca z panem głęboko a zasługująca na szczerą spowiedź.

Bo przed kim wypowiedzieć się do dna, jeźli nie przed osobą, której przyjaźń niby gołębica unosi się nad głową jego a jednak jakby nieistniejącą i

„Nieznajomą“.

— Tak... — szeptała do siebie panna Natalja w myślach, spozierając krytycznie na zapisaną kartę — wieje z tego trochę sentymenciku Tamary, coś z jej taniej, czczej poetyczności. List niby coś obiecuje: „serce potężne, ofiarne“, trochę schlebia, trochę przynęca zapachem Tamary, trochę zadaje kłam domysłom, trochę je rozbudza.

Dorzuciwszy jako adres „Nieznajomej“ słowa: Warszawa, poste restante, wysłała list do Stefana Łagiewskiego do dyrekcji kolei w Lublinie.

W cztery dni potem rozdzierała niecierpliwymi palcami kopertę i czytała chciwie:

Pani!

Odezwę się poprostu: Tamaro śliczna! bo przecież błękitny bilecik, woń fjołków...

Udał się fortel!

Pewny, że liścik pochodzi od Tamary, Stefan witał go jako iskrę budzącą go z przykrego snu zimowego, dźwigającą ponad „niedolę sercową i prozę dni mrocznych“, i szturmował do niej prośbami o spotkanie się z „niegodnym“, błagał o schadzkę z „doświadczonym srodze“, zarzucając ją przysięgami, że była jedyną jego miłością i pozostała jedynem świetlnem wspomnieniem, gwiazdą jego i świętością -- „najcudniejszem uosobieniem jego młodości“.

Pierwszy krok panny Natalji powiódł się, ale dalszy ciąg gry zarysowywał się mglisto, enigmatycznie.

Musiała zrazu podszyć się pod płaszcz Tamary, gdyż inaczej nie miałaby najmniejszej pewności, czy zechce on prowadzić intymną korespondencję z osobą nieznajomą lub kobietą, która nigdy nie była dlań niczem. Zachował zapewne o przyjaciółce Tamary miłe wspomnienie, lecz przeważnie tylko dzięki temu, że była przyjaciółką Tamary, gdyż, czarnooka dziewczyna stała między nimi i przysłaniała mu świat cały. Gdyby nie ta gruzinka, kto wie...

Teraz jeszcze Natalja nie mogła odsłonić maski; musiała nadal utrzymywać go w mylnem przypuszczeniu i wyprowadzać go z błędu sporadycznie, połowicznie tak, by stawił się na schadzkę a stawiwszy na nią, nie zdziwił się zanadto, nie rozgniewał, iż „nieznajomą“ nie jest śliczna Tamara.

Zadanie nie łatwe, ale jedynie wskazane w tych okolicznościach.

Gdy spotkają się, nie pozostanie jej chyba nic innego, jak udawać zdumienie, iż on mógł podejrzewać w „nieznajomej“ Tamarę. Błękitny, zaperfumowany papier?.. Ot, poprostu, był to najmodniejszy obecnie papier listowy. Tamara?.. W głębi Rosji, bogata, szczęśliwa z synkiem i kochającym mężem przy boku. Zapomniała z pewnością o sielance pensjonarskiej!

Natalja da mu do zrozumienia, że w dniach jego miłości do Tamary, kochała się w nim skrycie, że wspomnienie jego nie zagasło w niej, że oślepiło ją na innych mężczyzn, stało się przeszkodą do zamążpójścia. Tymczasem rzekome swe uczucia odsłoni elastycznem określeniem: przyjaźń.

W myśl swej taktyki zdobywczej, panna Natalja w następnym, długim liście wzbraniała się acz słabo przed spotkaniem, przedkładając mu a nie chcąc przekonać, że powinno mu wystarczyć, iż bije dlań bezinteresowną przyjaźnią serce kobiece. Niechaj pisuje do niej, ile razy źle mu będzie i ciężko na świecie, ale niech nie usiłuje zbliżyć się do przyjaciółki, która nie mogąc przeobrazić jego teraźniejszości, nie pragnie wchodzić osobą swą w ramy jego przyszłości.

Tak pisząc, „przyjaciółka“, użyła zaraz kilku zwrotów jakby przez Tamarę skreślonych, które robiły swoje.

(d. c. n).



Mieczysław Czernicki. (Warsz. Tow. Artystyczne). Do miasteczka.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

21)

STARE LWY.

POWIEŚĆ.

Usunął precz myśl napadu ze zbójecką drużyną pana Nikodema na zamek ogrodzieniecki. Nie obeszłoby się bez mordu i rzezi, co mniejsza, gdyby do tego zmuszony będąc, walczył na czele drużyny rycerskiej — ale... hałastra ona, kupców rozbijająca po drodze? ale... przewodniczący jej—Kukułka?..

— Nie mój to świat, nie moja kompanja, na którą oko twoje spojrzeć nie może, lilijko ty moja biała!.. — szeptał Jasieniec, odtwarzając w myślach swoich postać umiłowanej.

Chciał pomarzyć o niej, o tem pierwszem spotkaniu się z wojewodziną, gdy oczekiwać go będzie z sercem bijącem — ale skowyt psiarni, przelatującej przez korytarze, krzyki, śmiechy i tupot nóg tłuszczy zamkowej, nie pozwoliły mu myśli zebrać i lubym oddać się rojeniom. Wstał więc z łoża i ubrawszy się szybko, udał się do jadalni zamkowej, wypełnionej już po brzegi zbirami pana Smoleńskiego, przesiąkniętej zapachem potraw i mdłą wonią okowity, dygocącą od rechotu i tłustych konceptów zgrai niesfornej, pomiędzy którą rej wodził Kukułka, raz wraz zwracający się do pana Nikodema, siedzącego przy stole głównym i popijającego piwo grzane, zmieszane z twarogiem i z kostkami suchara.

Na ławie tylko pan Nikodem siedział i kilku innych wiekiem starszych, większość zaś kompanji stojąc spożywała ogromne gomuły sera albo wprost z mis polewanych zsiadłe chłeptała mleko, inni szwędali się pośrodku izby, ogryzając kości z mięsiwa, a gnaty ciskając na ziemię, na które wnet zgraja psów się rzucała, zajadłą walkę o ten ochłap staczając. Nie było ładu żadnego ni subordynacji; każdy robił, co chciał i chodził, gdzie chciał — ale była to dorywcza przekąska ranna, nie obiad libo wieczerza, podczas których wszyscy kolejno stół zasiadali i pewnych przepisów trzymać się musieli. Teraz nikt nikogo nie słuchał, mówili wszyscy razem; nie było słychać nawet głosu starego wilka, nakazującego milczenie, ale zaledwie rosła postać Jasieńca ukazała się w drzwiach izby, gwar nagle przycichać zaczął, powoli sznurowały się gęby rozgadane, nawet Zaraniec umilkł, jakby kto mu knebel na pysk nałożył, jeno zczerwieniał a nozdrza rozdął, z czego znać było, że złość tłumił w sobie że to wejście rycerza, wzrok jego, górujący nad wszystkimi, chód męski a pewny, błąkający się

na ustach uśmiech pogardy i brwi ściągnięte — druzgocący wpływ wywierały na te dusze spodlone. Usuwano się z drogi przed idącym, choć w piersi każdej wrzał gniew, że usunąć się musi; ten i ów chciał kołkiem stanąć i może jaką awanturę wywołać, ale błysk oczu Jasieńca na żadną nie pozwalał zaczepkę. Znalazłby się ten i ów może, któryby go łokciem potrącił, wiedząc, że w razie zajścia miałby pomoc kamratów, lecz bał się tego uczynić ze względu na pana domu, który z przyjaznym uśmiechem witał wchodzącego i ruchem ręki wskazywał na niezajęte miejsce przy stole, na jakiem ongi Kukułka siadywał. Zacięte usta tłumiły zgrzyt zębów, głuchy tylko pomruk przez izbę popłynął, niby urodziny grzmotu pierwszego w chmurach wiosennych, jako zapowiedź, dalekiej może jeszcze — burzy.

Jasieniec dumnem skinieniem głowy powitał obecnych. Znać było, że to robił z przymusu, bo radby był plecyma odwrócić się od nich. Czynił to jednak gwoli nie obrażenia pana zamku, u którego był gościem, ale już moc żadna nie zniewoliłaby go do podania któremu bądź z nich prawicy. Tego zaszczytu, nawet sam Kukułka spodziewać się nie mógł, tembardziej dziś, gdy w głowie Jasieńca zrodziło się postanowienie zamiary swoje li tylko z pomocą Przemka do skutku doprowadzić. Podszedł do pana Nikodema, uściskał tylko dłoń jego i usiadł przy nim.

Pan Nikodem rozumiał doskonale postępowanie Jasieńca, tak licujące z jego młodością bujną i poczuciem honoru rycerskiego — i żadnych mu w tej materji uwag nie czynił. Przeciwnie — to kłoniło ku niemu serce starego lwa; rad był z gościa swojego, który wnosił do zatęchłych komnat jego siedziby powiew z dawnego świata, który niegdyś był jego światem, zanim zły los nie kazał mu zejść do tych nizin, na których dziś stanął. Powoli oswajał się z tym brudem życia, aż się oswoił. Ale pierwsze pojawienie się Jasieńca i jego męska odwaga, wstrząsnęły duszą lwa starego... Wzbudziły się w nim wspomnienia lat młodych, lat pięknych — — Dziś nie nawrócić już do nich!.. Jaskinią zbójecką stał się dom niegdyś możnego pana, lecz w sercu starem tliła dawna iskra rycerza. Jasieniec blask rzucił w omroczone komnaty zamku, wyszlachetnił jego ściany zmurszałe, zapanował nad zgrają zbirów wyższością swej duszy rycerskiej. Pan Nikodem pod jego się skrzydła garnął, na zwiędłych, zaciętych nienawiścią do ludzi wargach czuł krople rosy orzeźwiającej. Wdzięczny mu był za to tchnienie lat minionych, a choć widział rosnący gniew hałastry zamkowej przeciwko Jasieńcowi, wierzył w moc władzy swojej, która wszelki wybuch tłuszczy niesfornej wczas powstrzymać zdoła. Obawiał się jednak zasadzki, jakiegoś niespodziewanego napadu i razu pewnego szepnął był o tem Jasieńcowi.

— Rozumiem, że głową kiwasz a rycerskiej prawicy swojej nawet do Kukułki wyciągnąć nie chcesz — ale dla przezpieczeństwa własnego, choć życzliwszym uśmiechem obdarzyć ich się godzi.

— Nie sposób! — odpowiedział Jasieniec —

— Budzisz nienawiść —

— To ich rzecz!

— Mam ich w garści — szeptał pan Nikodem — ale może się znaleźć zbir, który cichaczem dźgnie ciebie — —

— Niech dźgnie, ale do niego się nie uśmiechnę — —

— Jakże mnie sądzisz? — rzucił ponuro pan Nikodem —

— Los was złamał — odpowiedział Jasieniec.

Stary wilk zamilkł — —

Przywołał tylko Kukułkę i pod grozą stryczka nakazał, by baczność miał na szepty kompanów.

— Niech wasza miłość spokojna będzie... Stanę się cieniem Jasieńca — odpowiedział Kukułka.

I stał się cieniem i jako cień znalazł się w karczmie Lejby Ogrodzienieckiego.

Od tej chwili niskim ukłonem witał Jasieńca, a gdy groźny Kukułka tak postępował, cała hałastra zamkowa usuwała się z drogi rycerzowi i unikała z nim zwady, przeczuwając, że Zaraniec zdradę jakąś knuje.

Jasieniec usiadł przy panu Smoleńskim.

— Jakże spałeś? — stary wilk spytał —

— Źle!..

— Żadnych nowin z zamku wojewody nie masz?

— Żadnych!..

Kukułka się poruszył — —

— Masz co? — spytał go pan Nikodem —

— Stary się zbiesił — odpowiedział zapytany.

Tu jął opowiadać o wieści, jaką chwy-

cił od kmieci, zbierających suche gałęzie w lesie a tyczącej się rozkopów śnieżnych pomiędzy Ogrodzieńcem a Pilicą.

— Trzystu chłopów przez całą noc waliło łopatami, do samej Pilicy gościniec oczyszczając — ciągnął Kukułka. — I co wasza miłość powie na to? — do Smoleńskiego się zwrócił.

— Widocznie, że jakaś persona ważna spodziewana jest na zamku Ogrodzienieckim — rzucił wilk stary.

— Skąd? jaka? — zawołał Zaraniec — —

— Może sam król jegomość imci pana wojewodę nawiedzieć chce — odparł zgryźliwie pan Nikodem.

— Król... do pana Włodka?

— Jużci nie do nas!.. myśmy tego zaszczytu dawno się wyrzekli...

Spochmurniał —

— Mało więc chłopów trzystu, by aż do samego Krakowa gościniec zacnie utrzeć — rzekł Kukułka.

— Che-che-che! — zaśmiał się tłum.

— A jak daleko doprowadzono ono oczyszczanie gościńca? — spytał pan Smoleński.

— Do Pilicy — — Ostatnia łopata ugrzęzła przy furcie zamkowej.

Wilk stary ramionami wzruszył.

Widoczne było, że nikt nie rozumiał pracy tych łopat chłopskich; że nawet pan Smoleński nie wiedział o stosunku dwuch zamków poblizkich. Poza zbójeckimi napadami na tabory kupców wędrownych żadnej łączności innej ze światem zewnętrznym nie miał, który go zresztą już dzisiaj nic nie obchodził, za dużo zaś przewinień na swojem sumieniu miał, by mógł gdziebądź pokazać się bezkarnie, którego głowa już dawno przez wyroki sądowe oszacowana była. Gdyby nie te lasy, nie te rozpadliny zdradzieckie, w których zbój tylko albo przez łowców tropiony zwierz dziki bezpieczne schronisko znajdował — dawnoby może zadość sprawiedliwości się stało. O tem wszystkiem wiedział pan na Smoleniu i dlatego przejście każde, do jego zameczku prowadzące, było strzeżone bacznie i karczami zawalone, że jeno załoga zamkowa wiedziała, którędy iść i wracać którędy; zresztą w pewnych odstępach czasu i to się zmieniało, tak, że dziś ten a jutro tamten wąwóz do przemarszu służył, że nawet zdrajca, gdyby się i znalazł wśród zbirów tych, w wielkim by był kłopocie, chcąc drogę pewną wskazać.



Stanisław Pstrokoński. (Tow. Z. S. P.) **Fantazja wiosenna.**

SOLIDARNOŚĆ NARODOWA.

Są ludzie, którzy nie uznają państw, a liczą się tylko z narodami. Istnieją natomiast i tacy, dla których niema narodów, a tylko ludzkość staje się dla nich jakimś żywym objektem dążeń i pragnień. Dla takiego naprzykład Tołstoja nie istniały pojęcia w rodzaju „niemiec“ lub „francuz“. Wydawało mu się to sztuczną przeszkodą współczesnego obywatelstwa „Złego Ducha“, który natworzył tyle nieznośnych różnic wśród ludzi. I dlatego Tołstoj pragnący widzieć świat przez pryzmat woli i miłości Boga—rozróżniał tylko ludzi wedle ich chrześćjanizmu i niechrześćjańskości. Doktryny skrajne materjalistyczne, ekonomiczne też w ten sposób, choć pod inną barwą przemycały owe humanitarne, ale nieliczące się z rzeczywistością fantasmagorje o człowieku bez ojczyzny, o obywatelu świata całego. Słynna jest przecież też owa dzika koncepcja o proletarjuszu bez ojczyzny. Hasło jego miało brzmieć: ubi bene ibi patria (gdzie dobrze, tam ojczyzna). Lecz rzeczywistość zaprzecza tym materjalistycznym twierdzeniom.

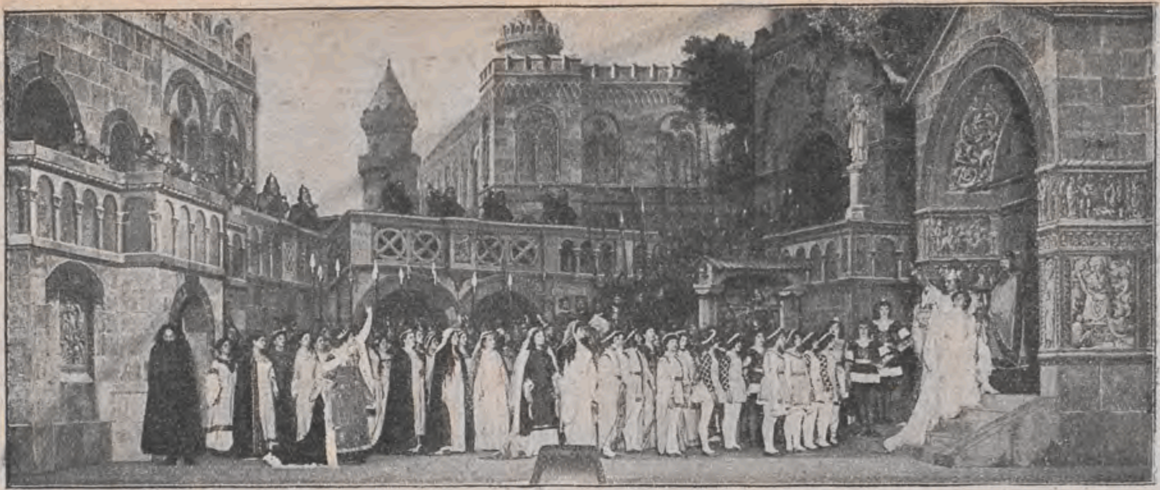
Bezwątpienia znajdą się jednostki, które w pogoni za rublem wynarodowią się i zaprzedają swoją narodową godność. Gieneralizować jednak tego faktu nie można, gdyż walka chłopa poznańskiego lub ślązaka o zagon rodzinny przeczy w zupełności, że ludzie gonią tylko za zyskiem, wszystko inne pozostawiając na stronie. Zresztą życie kolonji amerykańskiej świadczy, iż ludzie ci nie zatracili kontaktu z krajem, choć żywi ich inna półkula świata. Co więcej, widzimy, że wśród tych polaków samowiedza narodowa jest może większa, niż wśród tych, którzy mieszkają i pracują w kraju. Tłumaczy się zupełnie łatwo tem, że mieszkając wśród obcych i walcząc o byt odzywają się w nich instynkty samopomocy i samoobrony, które są wśród swoich i dla swoich pobudliwsze, niż dla obcych. Kto mieszkał choć kilka lat na obczyźnie, ten wie, w jakiej solidarnej zgodzie żyją ludzie, którzy w kraju nie znosili się wzajemnie. A czyni to fakt, że muszą się oni bronić przeciw komuś trzeciemu czego naprzykład w kraju nie postrzegali, a co na obczyźnie czuje się wyraźnie.

Otóż już te rzeczy wyjaśniają, że pewna zupełnie konkretna i normalna więź narodowa istnieje i co najważniejsza istnieje ona nietylko dlatego, że ktoś nie umie języka, a więc musi szukać kogoś ktoby ułatwił mu zdobycie środków porozumienia. Nie. Leży tu daleko głębsza przyczyna, która skupia na obczyźnie wszystkich rodaków. Jest to wspólnota zwyczajów i kultury, w której nas wychowano. Łączą się wszystkie interesy nasze w jeden skoordynowany splot, który występuje do walki lub samoobrony. I czy to będzie chodziło o materjalną czy też moralną stronę zawsze jednako reagować będą, bo zawsze jednako czują, że się im krzywda dzieje. Pozostawia bowiem na świadomości naszej ślad wieków historja, jaką przeżyliśmy we wspólnych niedolach i radościach. A więc i później odżywa przy lada sposobności owe wspomnienie i wywołuje uczuciowe nasze podniety, które decydują nieraz o czynach naszych.

Dziś nie liczyć się z narodami, jak zresztą nie liczyć się z państwami—to znaczy nie patrzeć na rzeczywistość, a przesłaniać sobie oczy ułudną wizją, która możliwie, że będzie nawet piękna, ale napewno nie da nam żadnych poznawczych walorów. Będziemy w ten sposób mówili może o utopijnych Arkadjach, będziemy śnili piękne i arcywytworne sny o szczęściu, lecz wszystko to nie daje nam w istocie żadnych korzyści. Tylko bowiem poznanie rzeczywistości takiej, jaką ona jest — daje nam rękojmię, że budujemy i możemy wybudować jakąś drogę, po której łatwiej i z mniejszym wysiłkiem podąży naród. Szczególnie dla narodu niepaństwowego, nie posiadającego swojego państwa owo liczenie się z rzeczywistością powinno być bardzo zalecaną busolą przy jego pracy, przy jego twórczości.

W narodach bowiem, które posiadają swoją państwowość owa realistyczność zjawi się siłą faktu. Ościenne państwa zmuszą go do skrupulatnego obliczania sił i zamiarów, gdyż każde nierealne przewidzenie staje sią powodem dotkliwej straty, na którą tylko czyhają ci sąsiedzi. Państwowe więc instytucje są owym kontrolującym zmysłem nad marzeniami, nad fantasmagorjami. Gdy zaś naród nie posiada owych państwowych instytucji, musi wykształcić w sobie samym ów organ realizmu, który przezeń reprezentuje państwo. I dopiero wtedy gdy posiada w sobie harmonijnie rozwinięte te dwie części jego witalnej siły: inicjatywę i poczucie rzeczywistości, może spokojnie patrzeć w przyszłość. Zwykle bowiem w państwach układają się stosunki w ten sposób. Naród daje inicjatywę, marzenia, a państwo kontroluje je i daje im pole lub przeszkadza w pracy, jeżeli są przedwczesne.

Obok jednak tego poczucia realizmu zastosowania go przy inicjatywie naród każdy musi rozwinąć w sobie instynkt solidarności. Musi on być żywo wytworzony, by zjawił się zawsze samorzutnie, bez wszelkich dyskusji, skoro czuje się, że ktoś godzi w gromadę czy też jednostkę, a sprzeciwia się to naszej samozachowawczości. Solidarność narodowa powinna być odruchem szlachetnym nie pozwalającym na drobienie się sił naszych wobec obcych, wobec innych narodów. I tak naprzykład społeczeństwo polskie powinnno zawsze solidarnie występować, bez względu na miejsce, gdy hakatyzm rości sobie pretensje do ziemi



Teatr Wielki. Scena z „Lohengrina".

naszej, gdy zmierza do poniewierania naszym językiem, naszą literaturą, naszą kulturą. Jednaki powinniśmy dawać temu wyraz w Poznaniu, jak i Warszawie lub Krakowie. Wszędzie na ziemi polskiej powinno zobowiązywać nas wspólne przeświadczenie o krzywdzie, która się dzieje rodakom naszym, aczkolwiek zdawałoby się, że jest ona tylko pośrednią rzeczą dla nas. Otóż tak nie jest. Niema pośrednich krzywd w narodzie, skoro jedna część cierpi— cały organizm jest przez to zaatakowany i cały organizm winien się bronić. Mamy bowiem wśród nas kazuistów, którzy uważają za rzecz nieważną „wtrącanie się" w sprawy poznańskie lub galicyjskie.

Oddają ci politycy społeczeństwo poznańskie lub galicyjskie na los jego własnego szczęścia i nie uważają nawet za stosowne stwierdzić, że moralnie i materjalnie za wszystko co się tam dzieje jesteśmy jednako odpowiedzialni. Dosyć jest wziąć znany fakt wystąpień różnych nacjonalistycznych posłów z Dumy, którzy nie liczą się z tem, że polacy z pod berła rosyjskiego, nie są polakami z zaboru austrjackiego i atakują posłów naszych za sprawy rusińskie w parlamencie petersburskim. Zdawałoby się, że od tego jest parlament wiedeński.

Niewolno nam jednak na to reagować publicznie, gdyż Puriszkiewicz chętnie nam zapomni wszelką naszą wspólnotę narodową, gdy będzie chodziło o jakąś sprawę dodatnią, ale nie przeoczy, że polak galicyjski i polak rosyjski to ciż sami ludzie, skoro chodzi o jakąś rzecz ujemną. Miotnie się wtedy nawet na szlązaków i poznaniaków, choć ci nic nie są winni za ekscesy galicjan.

Przypomnieć to stanowisko naszych „przyjaciół" trzeba, gdy chodzi o tak doniosłą sprawę, jak solidarność narodowa. Przez przypomnienie przecież wyżłabia się w duszy naszej instynkt, który, gdy zajdzie potrzeba, powinien się odezwać całą świetną gamą uczuć solidarnych. Niech mienią się one wszystkimi kolorami tęczy. Niech grają nam w piersi, jak najserdeczniejsza pieśń życia! Niech przechodzą one z pokolenia w pokolenie jako dziedziczna cecha naszych temperamentów i mózgów. Skoro Zło jest nam liczone powszechnie — niech i Dobro nasze będzie zwierciadłem dla całego narodu. A gwiazdą tego naszego powszechnego Dobra, niech będzie solidarność tak daleko idąca, że nawet na fałszywy alarm, niech się odezwie harmonijną pełnią tonów. Bo tylko wtedy można spokojnie patrzeć w przyszłość, gdy wśród obywateli istnieje solidarność, która zawsze gotowa jest do samoobrony, i staje się ona zawsze samozachowawczością.

A to przecież jest założeniem i fundamentem każdego narodu. Na odporności polega bowiem jego siła tak dobrze, jak i na walecznem męstwie.

Z MUZYKI.

Dolina Szwajcarska. — Opera.

Jeden sezon koncertowy się skończył—drugi się rozpoczyna... zwykła kolej, automatycznie powtarzająca się co roku. Filharmonja zamknęła podwoje — Dolina Szwajcarska otworzyła je w ubiegłą sobotę.

Pod dzielną dyrekcją p.p. H. Melcera i Br. Szulca nowozorganizowana orkiestra symfoniczna przedstawiła się nam jaknajkorzystniej. Znać dobrą rękę kierowników, umiejącą poprowadzić i wogóle ująć w pewną harmonijną całość poszczególne siły orkiesty. Warunki gry w ogrodzie są o wiele gorsze niż w zamkniętej sali, głos się rozprasza zanadto i zatracają się subtelności gry. Publiczność również nie może skupić się należycie, używając przechadzki po ogrodzie.

Sobotnia jednak przechadzka nie należała do najprzyjemniejszych, chłód dokuczał niemożliwie a biedne panie postrojone w lekkie ażurowe bluzeczki, dyskretnie jaśniejące pod lekkim rownież kostjumem, dzwoniły białymi ząbkami, akompanjując w ten wielce oryginalny sposób marznącej również orkiestrze. Mimo to, jednak żal nam było opuszczać „dolinę" i marzlibyśmy z chęcią, słuchając tak zgranej orkiestry—a zresztą rozgrzewaliśmy się przecież bijąc rzęsiste i zasłużone brawo, bijąc długo i często. Program złożony był przeważnie z utworów kompozytorów polskich.

Zakończenie sezonu operowego... piękny finisz — piękniejszy niż rozpoczęcie i trwanie sezonu. „Lohengrin“ stanowczo wypadł świetnie, obsada bardzo dobra a piękne dekoracje nic już nie pozostawiały do życzenia. Takie dekoracje widuje się tylko na pierwszorzędnych stołecznych scenach zachodu.

Rolę tytułową odtworzył znakomicie Dygas, czarującym tenorem porywając słuchaczów. Warunki zewnętrzne tego artysty chyba można nazwać wymarzonymi. P. Collignon-Szymańska grała Elzę—grała przecudnie, bez zarzutu — pozostałe role w odtworzeniu p. p. Lachowskiej, Ostrowskiego, Górskiego, Borkowskiego, Tracewskiej też nic więcej do życzenia nie pozostawiały. I p. Cimini tym razem dobrze prowadził orkiestrę a p. Lewicki jak zwykle świetnie wyreżyserował operę.

Jednem słowem powodzenie na całej linji, rzadkie powodzenie... gdyż rzadko miało miejsce w bieżącym sezonie operowym.

Z.



Poświęcenie nowej Campanilli w Wenecji. Książę Genui przybywa ze świtą.

TEATR.

„Trzeba umrzeć, aby żyć“. Występy p. Solskiej. 300 dni.

Teatr letni po szeregu lekkich, bardzo lekkich krotochwil dał satyryczną, poważniejszą komedję Rivoira „Trzeba umrzeć, aby żyć“. A przytem specjalnie artystyczne, malarskie środowisko pokazane jest w tej sztuce, więc publiczność tem chętniej słucha, gdyż „cygan“ artystyczny zawsze interesuje solidną burżuazję. Całość jest miła i zajmująca; pomysł bowiem jest bardzo oryginalny. „Żywy trup“ przysłuchuje się, jak sądzą o nim jego przyjaciele, jak go szukają, jak uwielbiają. Zawodzi się na ludziach kochanych, niespodzianki mu czynią wrogowie. Gasiński ma przytem w tej komedji jedną z naczelnych ról, a to już wystarcza, że publiczność siedziała zahypnotyzowana przez cały wieczór. Gra on w tej roli bez szarży, pokazuje, że mógłby doskonale święcić tryumfy i w komedji teatru Rozmaitości.



Zofja Wierzejska, utalentowana artystka teatru Małego.

„Trzeba umrzeć, aby żyć“—dało też możność pokazania naszej publiczności p. Szylinżanki, która dotychczas grywała w teatrze Małym. Debiut ten nie wypadł zupełnie pomyślnie, ale wykazał, że p. Szyling może kiedyś przy pracy zostanie aktorką, gdyż ma potemu zdolności i warunki. W pozostałych rolach wyróżniły się p. Bogorska, piękna p. Mery Mrozińska, Lenczewski i Knapczyński.

W teatrze Wielkim gwoli występów p. Solskiej odegrano „Romeo i Julję“ Szekspira. Przedtem tę rolę kreowała na scenie naszej p. Trapszo. Podkreślała ona naiwną serdeczność uczucia Julji. Tworzyła z niej uroczą, wiośnianą wizję. Nie można tego powiedzieć o pani Solskiej. Miała ona bezwątpienia momenty piękne, ale całość była chłodna, hamletyczna. Możliwe, że wiele przyczyniły się do popsucia wrażenia warunki i otoczenie w jakiem grała p. Solska. Takiej niestaranności, takiej tandety w wystawie, dekoracjach dawno już nie widzieliśmy. Aktorzy też traktowali swoje role „przypadkowo“, odrabiali je, jak pańszczyznę, jak przymus, któremu musieli podledz. W „Aktorkach“ Krzywoszewskiego też czuć było „wznowieniową“ robotę. Rozłaziły się, pruły świąteczne ściegi. Tylko Frenkiel-Niecinozko i p. Wojdałowicz dzierżyli honor pierwszej sceny polskiej. Niecinozko-Frenkla łka takim bólem, że jego arcyludzka kreacja staje się symbolem jakiegoś złowrogiego losu, jaki wisi nad pewną garścią wykolejeńców. Tak uszlachetnić, tak wyidealizować cyniczną gębę dziennikarskiego eunucha mógł tylko wielkiej miary artysta. Pani Solska i w tej roli nie dała nic więcej nad... bogatą technikę. Przypomniała się nam bowiem kreacja Przybyłko-Potockiej, jej szloch, ból i wreszcie rezygnację mądrą i głęboką, która nie wychodzi z pamięci i później przeszkadza patrzeć na twórczość innych odtwórców. Kto nie widział Potockiej, może go wzruszyła p. Solska. Co do mnie wyznam szczerze że wspomnienie nie pozwala się skupić na na jej grze.

Teatr mały p. Zalewskiego dał wesołą krotochwilę p. t. „300

dni“ p. Roberta Charvey i s-ka. Chodzi w niej o drobiazg, bo o zapis 10-cio miljonowy, który ma otrzymać młoda wdowa, ale tylko w tym wypadku, jeżeli będzie miała dziecko. Na tle tej koncepcji odbywa się szereg paradoksalnie-komicznych scen, które kończą się odnalezieniem drugiego testamentu, zapisującego wspomniane dziesięć miljonów bez tego warunku. Krotochwilę tę reżyserował p. Zelwerowicz. Grano też ją w tempie bajecznie szybkiem. Dawno nie widziałem w teatrze p. Zalewskiego, tak dobrego zespołu. Reżyserska ręka Zelwerowicza wydobyła wszystko, co tylko było do wydobycia z początkujących sił i dała spektakl nawskroś zajmujący. I w tej sztuce odznaczyła się swoim szczerym talentem p. Wierzejska. Przez całą zimę z wielką uwagą śledziłem jej charakterystyczne kreacje. Najdrobniejsza rólka budziła zainteresowanie całej prasy. Dosyć przypomnieć służącą z „Samsona i Dalili“, lub markietankę z „Napoleona i Józefiny“. Pani Wierzejska posiadając tak bogate środki charakterystyczne oraz dużą inteligiencję w rozporządzaniu nimi, jest bezwątpienia jedną z najzdolniejszych aktorek w repertuarze charakterystycznym. *E. C.*

Korespondencja.

Wystawa obrazów Ireny Łuczyńskiej. — „Wesele“ St. Wyspiańskiego nad Sekwaną.

Paryż jest naprawdę jedyną w swym rodzaju katedrą Sztuki, gdzie, jak powiada, zdaje się, Oskar Wilde „chrzci się artystów, nadając im wielkie imiona“. Może niekoniecznie



Ir. Łuczyńska. **Studjum.**



Irena Łuczyńska
pracami swemi zwróciła uwagę krytyki francuskiej.

„wielkie“, lecz pozwalające się dzięki indywidualizmowi odrazu i łatwo pamiętać. To dużo znaczy. Stolica Francji, wbrew przysłowiu, stosunkowo najszybciej robi z szablonowego owsa pierwocin, ryż wyborowego gatunku.

Obserwując prace Łuczyńskiej jeszcze za jej szkolnych czasów, właściwie studja, powstające pod wpływem i korektą prof. Stabrowskiego i Lentza, byłem moralnie przekonany, że ta młodziutka i pilna uczennica stanie się jedną z rzadkich kobiet-malarek, najczęściej, prócz względnej techniki, nie posiadających nic ciekawego od pokazania i że przy systematycznej pracy może osiągnąć wspaniałe rezultaty. Nie omyliłem się. Zbiorowa wystawa obrazów Łuczyńskiej, mieszcząca się w „L'art moderne“, bardzo licznie reprezentowana i odwiedzana, jest najsilniejszym dowodem pysznego zakwitu tej ciekawej, prawie nie kobiecej, organizacji twórczej.

Właśnie ta „niekobiecość“... Dlaczego Boznańska, Mutermilchowa, Neumanowa owe jedyne przedstawicielki polskiego Parnasu niewieściej sztuki malują lepiej od całego szeregu współzawodniczek? Bo już pominąwszy ich istotne talenty czuje się silną rękę naprawdę pozbawioną amatorskiej i dyletanckiej miękkości, która, gdy chodzi o kunszt plastyczny jest brzydką cechą płci pięknej. Obrazom Łuczyńskiej braknie tych słabizn. Pejzaż, czy portret, martwa natura, czy studjum pojmowane są mocno, zdecydowanie, bez panieńskiego lęku i „babskiej“ drobiazgowości. Takie płótna, jak: „Słoma w słońcu“, „Fontanna“, „Śnieg“ muszą zastanowić. Znać pewność formy, śmiały rzut oka i wrażliwości kolorystyczne. Indywidualny kąt patrzenia ani razu nie zawodzi. Dyskretny rysunek i negowanie efekciarstwa.

Krytyka paryska odezwała się bardzo pochlebnie o występie młodej artystki. Podnoszono właśnie tę „niekobiecość“ i barwne zestawienie kontrastów. Do katalogu wystawy entuzjastyczną przedmowę napisał André Girodie, jeden z najpoważniejszych znawców malarstwa francuskiego.

*

Grupa artystów polskich, pragnących przyjść w pomoc własnym i rodaków potrzebom, odegrała trzykrotnie i aż na dwa piękne cele niezapomniane „Wesele“ St. Wyspiańskiego. Tłumy publiczności wypełniły za każdym razem stylową salę Athénée Saint-Germain, słuchając z uroczystem wzruszeniem tych, tak dziwnie na obczyźnie brzmiących, wspaniałych zwątpień i proroctw wielkiego poety. Wśród wykonawców wyróżnili się najbardziej pani Kamińska i pan Szeluta, jako zupełnie matejkowski Stańczyk. Dobrym reżyserem, lecz słabym aktorem był pan Ważny.

Paryż. *St. J. Kozłowski.*

Ś. p. Adam Dobrowolski.

Śmierć zabrała w pełnym rozkwicie sił męskich, utalentowa-



Ś. p. Adam Dobrowolski
poeta i dziennikarz.

nego poetę i dziennikarza ś. p. Adama Dobrowolskiego.

Zmarły pracował w „Przeglądzie lwowskim“ i dał się poznać jako wybitny krytyk literacki. Pozatem pisywał w wielu innych pismach a poezje jego wyróżniały się zawsze piękną formą i szczerem uczuciem. Wydał tom poezji p. t. „Nastroje“ oraz drugi p. t. „Smutna ballada“.

Trawiony ciężką chorobą piersiową zakończył życie, pozostawiając po sobie jaknajlepsze wspomnienie i żal serdeczny wszystkich, którzy go znali lub czytali.

Ś. p. Stanisław Brun.

I znów sfery nasze przemysłowe poniosły stratę, która wielkim ujawniła się wyłomem. Zmarł ś. p. Stanisław Brun,



Ś. p. Stanisław Brun
zasłużony kupiec i przemysłowiec.

właściciel firmy „Krzysztof Brun i Syn“.

Na niwie społecznej nieraz zaznaczył się zmarły wieloma czynami wzbudzającymi wdzięczność w sercach współobywateli. Popierał szkolnictwo i sam był opiekunem szkoły niedzielno-handlowej, zyskując wdzięczność jej wychowańców, a jako podstarszy Zgromadzenia kupców m. Warszawy, zyskał szacunek i uznanie sfer, którym przewodził. Przez pewien czas ś. p. Brun był wice-prezesem rady Banku Handlowego.

Pracowite jego życie było ciągłą troską o dobro ogółu.

Arcybaszew pod sądem...

Nazwisko tego pisarza przypłynęło do nas ze wschodu na

skutek powieści, która wywołała obszerne komentarze w prasie. Jedni oburzali się na „Sanina“, inni uważać go poczęli za proroka jakiejś nowej moralnej ewangielji. W gruncie rzeczy zaś nie było się na co oburzać, ani też spiewać dytyrambów. „Sanin“ jest paradoksem, jak paradoksalną wogóle jest twórczość młodych współczesnych artystów. Spotyka się w nim obok rzeczy ciekawych, słabe, zagmatwane, niewyraźne linje. Ta powieść była fundamentem sławy Arcybaszewa. Dalsze „u kresów“ i obecnie wydane „Szkice“ to dalsze ciągi tych samych anarchistycznych, „odważnych“ zaprzeczeń, które jako „kawał“ mogą być nawet dość interesujące. W „Szkicach“ Arcybaszew dotknął sprawę militaryzmu. I rozumie się ze zwykłą sobie negacyjnością odrzucił militaryzm. Prokurator dopatrzył się w tem przestępstwa państwowego i polecił książkę skonfiskować. Sprawa przed sądem poleceniu temu nadała sankcję.

Trzeba dodać, że obok Andrejewa, Arcybaszew jest jednym z reprezentatywnych pisarzy młodego rosyjskiego pokolenia...



M. Arcybaszew
wybitny pisarz rosyjski, za swoje „Szkice“ został oddany pod sąd.

Polska literatura współczesna.

Znany essaista p. Antoni Potocki wypuścił w świat obszerne, dwutomowe dzieło o literaturze współczesnej. Blizko dziewięćset stronic druku obejmuje dzieje naszego piśmiennictwa od 1860 do 1910 r. Spis autorów, spis studjów pomocniczych oraz repertuar teatru miejskie-



Antoni Potocki
autor „Polskiej literatury współczesnej“.

go w Krakowie od 1893—1910 r. uzupełniają tę książkę, która powinna się znaleźć obok literatury Feldmana. Tak Potocki, jak i Feldman nie wyczerpali w zupełności tematu. Różni się jednak praca Potockiego od książki Feldmana pod wielu względami. Feldman w literaturze swojej czynił krzywdę wszystkim niesocjalistom, niedoceniał autorów zajmujących odmienne stanowisko ideowe, nie uwzględniał ciągłości kultury naszej duchowej. Potocki starał się być objektywniejszym, ale też wiele złego uczyniły osobiste sympatje, gdyż przesłoniły w wielu wypadkach sąd sprawiedliwy o rzeczy. Jest jeszcze jedna wada, według nas kardynalna. Brak w tej literaturze p. Potockiego, metody naukowo - kryterjoznawczej. Pan Potocki świadomie ją lekceważy. Poszczególne uwagi są nieraz ciekawe, ale całość w konstrukcji swojej rozpada się na chaotyczne obrazy. Szereg błędów faktycznych niemile też razi, gdyż wskazuje, że autor

z niektórymi pisarzami załatwiał się zbyt ryczałtowo.

Dobre charakterystyki, ze względu na tendencję, dał p. Potocki o Przybyszewskim, o Kasprowiczu, wreszcie o Reymoncie. Nie wyczerpują one twórczości tych pisarzy, ale widać że przychodzi do nich p. Potocki bez uroszczeń, bez idjosynkrazji. Niezrozumiały jest natomiast stosunek p. Potockiego do Żeromskiego i Niemojewskiego; również razi wszystko, co dotyczy Feldmana. W książce naukowej takich osobistych zaczepek, jakie kieruje p. Potocki pod adresem Feldmana być nie powinno. Trzeba zważyć, że jest to książka konkurencyjna dla literatury Feldmana, a więc tembardziej należałoby zachować pewien takt. Toż samo dotyczy też stosunku do Brzozowskiego. P. Potocki za życia Brzozowskiego nigdy nie odważył się wystąpić do publicznej dyskusji, choć miał wiele razy powód do tego. Proszę przypomnieć sobie słynną opinję Brzozowskiego o książce p. P. o Wyspiańskim! Niezrozumiałą więc jest ta... replika, gdy wroga nie stało.

Krytykę polską współczesną p. Potocki zupełnie sobie lekceważy. Zaledwie odnalazł trzy nazwiska w przeszłości, które z zastrzeżeniami wspomniał. To tylko Mochnacki, Tyszyński i Chmielowski zasługują na łaskę naszego historyka. No, ale nie chodzi o te wszystkie „wrażenia“ p. Potockiego. Czytelnik łatwo je skoryguje sobie, gdy odczyta autorów, o których p. Potocki pisze. Najważniejsze jest tylko to, by go przeczytał: a jak przeczyta napewno zechce zapoznać się z każdą książką, o której p. Potocki mówi, gdyż mimo wszystko opisuje z tupetem, zajmująco...

Należy podkreślić specjalnie ten „zajmujący“ ton książki Potockiego, gdyż jest to wielką zaletą jego pracy. Dziś przecież piszą tak sucho krytyczne książki! Jego zaś „literaturę współczesną“ czyta się niemal, jak powieść. Zdaje się, że p. Potockiemu specjalnie o to chodziło, gdyż we wstępie zastrzega się, iż niema zamiaru pisać syntezy historycznej, lecz tylko chce dać indywidualny wyraz swoim mniemaniom o literaturze polskiej.

Jako wyraz indywidualności stoi ta książka na poziomie wysokim, lecz jako praca historyczna zmija się z takiemi wymaganiami. Należy więc ją brać jako pracę indywidualności.

Przegląd polityczny.

Od tygodnia czekaliśmy na wyniki bombardowania Dardanellów. Jedyne, realne na razie „korzyści“ polegają na tem, że Turcja w ostateczności musiała uledz żądaniom mocarstw, by otworzyć cieśninę dla statków handlowych. Najwięcej w tej sprawie była zainteresowana Rosja i Anglja, one więc wymogły od Turcji, że pierwotną, kategoryczną odmowę radykalnie zmieniono na... żądania proponowane przez mocarstwa. Włosi zajęli już kilka wysp; na Rhodusie doszło do starć między załogą turecką a wojskiem włoskiem. Miasto dotychczas jest niezdobyte, lecz flaga powiewa włoska. Załoga turecka liczy 2500 ludzi, włosi mają siły 10 razy większe, bo aż 25,000 liczące. Garnizon wyszedł w góry okoliczne okalające miasto stołeczne, przez co może skutecznie prowadzić partyzantkę przeciw włochom.

Politycy zajęcie Rhodusu tłumaczą sobie w ten sposób, że chodzi tu o przewagę włoską na morzu Egiejskiem przez co Konstantynopol odcięty będzie od komunikacji z wszystkiemi,



A. I. Guczkow
b. prezes Dumy, pojedynkował się z podp. Miasojedowem.

zamorskiemi prowincjami państwa. Rząd włoski zamierzał z początku wojny ograniczyć akcję do Trypolisu i wybrzeża afrykańskiego; jednakże zacięty opór Turcji zmusił Włochy do rozszerzenia akcji wojennej na wszystkie morza tureckie. Jakie będą rezultaty tej akcji na wszystkie fronty zobaczymy w przyszłości.

W jednem z pism niemieckich zjawiła się bardzo ciekawa statystyka opisu ludności niemieckiej, zamieszkującej w państwie rosyjskiem. (Deutsche Monatschrift für Russland). Wedle tego wykazu liczba niemców w Rosji wynosi 1,790,489. Z cyfr powyższych wyciąga autor wniosek, że liczba ludności niemieckiej w Rosji nie może być uważana, jako quantité negligeable. I żąda dlatego, autor artykułu, praw politycznych dla niemców, gdyż, podobno, nie odgrywają oni dotychczas żadnej roli. Pozornie nie odgrywają oni żadnej roli, ale faktycznie są oni najbardziej tolerowaną częścią ancien regime'u. Przecież prawie wszyscy ministrowie do niedawna byli albo „kampfami“, albo „manami.“ Do dziś jeszcze ta tradycja przechowała się w zupełności.

W tych dniach odbył się po-



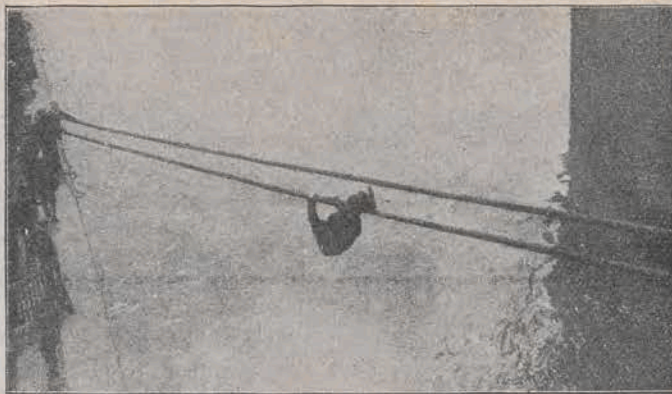
Wypadki w Maroko. Jedno z najkrwawszych pobojowisk.

jedynek Guczkowa z podpułkownikiem Miasojedowem. Jak wiadomo podpułkownik Miasojedow został usunięty ze służby w Wierzbołowie. W tej sprawie „Nowoje Wremia“ miało z Guczkowem interwiew, na skutek to którego Miasojedow wyzwał na pojedynek Guczkowa. Lecz i redaktorowi, który wzmiankował pierwszy o nim nie uszło na sucho zamieszczenie tego artykuliku. P. Miasojedow publicznie go obił. A był nim p. Suworin. W sprawie „nadużyć“ podpułkownika ma w Dumie mówić minister wojny Suchomilinow. Nim więc doczekamy się prawdy, zaznaczymy, że prasa oskarżała pana podpułkownika o jakieś szacherki na tle emigracyjnem, oraz że pewne z mocarstw dzięki temu wiedziało znacznie więcej o stosunkach rosyjskich niż dotychczas. Chodzą wersje też, że ustępuje już w najbliższej przyszłości ze swego stanowiska minister sprawiedliwości Szczegłowitow. Na jego miejsce zapewne mianowany będzie p. Wierowkin. Kokowcew znów poróżnił się cokolwiek z p. Makarowem. Wogóle oczekiwane jest lada chwila przesilenie ministerjalne.

W Krakowie ukonstytuowało się nowe stronnictwo galicyjskie, które nazywa się: partją polskiego mieszczaństwa demokratycznego. Strejk piekarzy w Krakowie trwa już kilka dni. Istnieje obawa, że przyłączą się do nich krawcy i stolarze. Strejk metalowców w Niemczech, jak donoszą z Frankfurtu nad Menem, obejmuje już większość zakładów w tem mieście, a jest prawdopodobieństwo, że rozciągnie się na całe państwo. Strejkuje 35,000 robotników.



B. Ismail, prezes kompanji „White Star Line“, której własnością był „Titanic“. Stosunek jego do katastrofy nastręcza wiele komentarzy. Został oddany pod sąd w Waszyngtonie.



Palacze okrętu „Olimpic“ zażądali powiększenia liczby łodzi ratunkowych, poczem zastrejkowali, przedostając się po linie na ląd, gdy ich nie chciano wypuścić z okrętu.

Znamienny strejk.

W kilka dni po katastrofie „Titanica“ miał wyruszyć w drogę do Ameryki drugi olbrzym „Olimpic“, który powszechnie nazywano bliźniakiem nieszczęsnego okrętu. Jednakże przed wyruszeniem w drogę palacze okrętowi i część załogi zastrejkowała wskutek tego, że „Olimpic“ nie był dostatecznie zaopatrzony w łodzie ratunkowe. Gdy strejkujących nie chciano wypuścić na ląd, przerzucili oni liny, które sympatyzująca z nimi publiczność pochwyciła, odpowiednio umocowawszy u brzega. Po takim prowizorycznym „moście“ przedostawali się strejkujący na ląd, gdzie łącznie z publicznością dalej manifestowali, popierając słuszne swe żądania.



Dzielna p. **Straus**, żona członka kongresu i znanego miljardera, choć mogła się ratować, nie chciała jednak męża opuścić i razem utonęła podczas katastrofy „Titanica“.

Brylantowe gody.

(Patrz ilustr. na str. 18-ej).

W salonach Resursy obywatelskiej państwo Józefostwo Rentlowie obchodzili w gronie rodziny i zaprzyjaźnionych domów rzadką uroczystość brylantowych godów.

Wśród gości poza najbliższą rodziną jak synem i córkami (p. p. Krauzowa, Knoblauchowa, Rudnicka i Limprechtowa) były również znane rodziny Temlerów, Pfeiffrów, Świderskich, Bobrowskich, Hersów, Binzerów i w. in.

Podczas uczty nastrój panował prawdziwie szczery i serdeczny.

Wyścigi warszawskie.

Wiosenny sezon wyścigowy zaczął się pod niefortunnemi auspicjami w tym roku. Hodowla koni pełnej krwi jest w upadku. Przepowiednie prasy sportowej naszej i w cesarstwie stały się już faktem. Ubywało co roku hodowców, zatem naturalnie i koni. Stosunki panujące w sferach hodowlano-sportowych dominowały jednak z racji prywatnych ambicji, nad ekonomicznym interesem hodowli i ostatecznie doprowadziły tę ostatnią do upadku.

W szeregu kilkunastu poprzednich lat ubyły takie stada i

stajnie jak hr. Zamoyskiego, H. Blocha, Sonnenberga, L. hr. Krasińskiego, L. Grabowskiego, A. hr. Potockiego. Przybywały natomiast same tylko stajnie spekulacyjne, t.j. takie, których właściciele skupowali różne konie przeważnie gorszej klasy, od hodowców, aby prowadzić nimi operacje wyścigowe, dla przyjemności lub dla zysku. Naturalnie hodowla traciła na tem; z powodu braku lepszych koni i stajen układ programów wyścigowych zaczął forytować hołotę torową, by bądźcobądź zapewnić większe pola w wyścigach i tym sposobem zabezpieczyć Towarzystwu wyścigów dochody z totalizatora, oraz liczniejszą frekwencję publiczności.

Bo publiczności tej, z wyjątkiem nielicznej garstki prawdziwych sportsmanów wszystko jedno przecie jakie konie biegają byle wypłaty były znaczne. A wypłaty większe mogą naturalnie być tylko przy większej ilości biegających koni. Skoro więc niema koni klasy—puszcza i proteguje się outsiderów.

W bieżącym roku ubyła znowu stajnia ks. Lubomirskich z Kruszyny, oraz stajnie p.p. Michalskiego z Borowna i Reszkego ze Skrzydłowa. Z hodowców polskich zostały więc tylko stajnie: p. M. Bersona z Leszna i A. Daszewskiego (mała stajnia) z Siedzowa. P. St. Wotowski prowadzi wprawdzie także oddawna własną stajnię jako zawołany sportsman, ale nie reprezentuje ona hodowli większego stada. Zliczają się w niej konie mniejszych hodowców.

Dominuje naturalnie stajnia p.p. Łazarewów, która ma wprowadzić w oddziale warszawskim tego roku tylko 16 koni, zatem mniej jak zwykle, ale ich jakością góruje nad wszystkimi innymi. „Zeitun“, najpoważniejszy crack tej stajni zakulał wprawdzie na galopach porannych, ale znakomicie zato prezentują się „Dargot“ Arak, Arachan, Melik, nabyta w Austrji Ruth oraz starsze konie jak Cherbourg i Fleur d'Hiver. W stajni p. Bersona zwracają na siebie uwagę Princesse Norio, Ontario, Iron, Navarra i starszy Sherry Cobler. Nowo powiększona stajnia p. Jurjewicza, obecnie połączona ze stajnią A. hr. Wielopolskiego rozpoczęła sezon czterokrotnem zwycięstwem w pierwszym dniu meetingu (Dzielna, Ładna, Krajczanka i Marque mal). Materjał tej stajni dość obfity i jako klasa należy do poważniejszych. Ze stajen rosyjskich przybyły: A. hr. Pahlena, K. v. Seydlitza, p.p. Wołochina i Biełogorskiego, zostały z dawnych ks. Tundutowa, p.p. Petryczenki, Papadżanowa i kilka innych, mniejszych.



Typy z pola mokotowskiego.

Pierwszy dzień sezonu przeszedł bezbarwnie. Skutkiem spóźnienia meldunków stajnia młocińska w tym dniu wcale nie stawała w szranki, ścigało się w 7 gonitwach tylko 23 konie.

Publiczności, mimo chłodnego wiatru, zebrało się dużo. Sezon może jednak będzie ożywiony więcej niż zwykle, chociaż o prawidłowym wpływie obecnych wyścigów na hodowlę naszą dotąd nie można będzie mówić na serjo, póki stosunki dziś istniejące nie ulegną zmianie.

Łom.

Rozwiązanie rebusa rysunkow. № 9:

„Mickiewicz, Słowacki, Krasiński to trzy gwiazdy pierwszej wielkości na firmamencie Polski“.

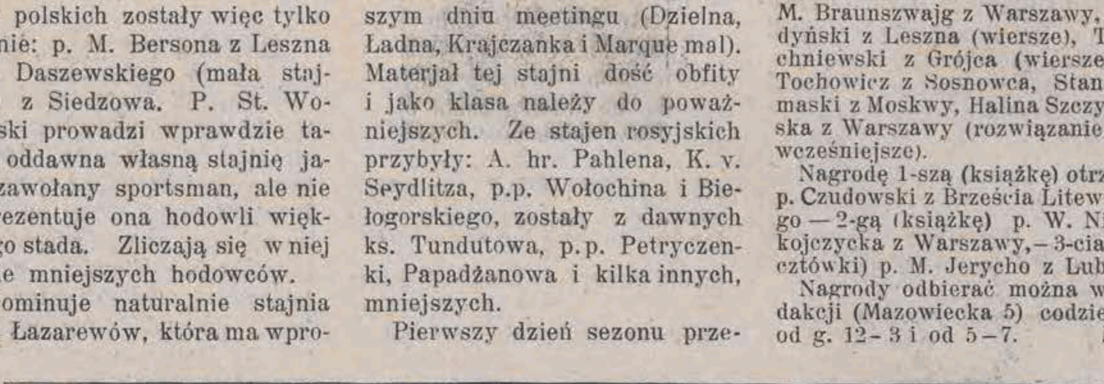
Z 21 nadesłanych odpowiedzi 20 jest trafnych. Z tych 13 nader wyczerpujących. Do tej—w danym razie niefatalnej trzynastki należą:

P.p. M. Czudowski z Brześcia Litewskiego (wiersze), L. Goldman z Łaz, Jan Górnicki z gub. Radomskiej, W. Jahołkowski z g. Witebskiej (wiersze), M. Jerycho z Lublina (wiersze), Samuel Koprowski z Wołynia, Wacł. Król z g. Kazańskiej, Hel. Lindenszatówna z Warszawy, Marynowski Tadeusz z Ostrowca (łamigłówka), W. Niepokojczycka z Warszawy (wiersze), Adam Patrzykont z Konina, J. Rössler z Piotrkowa, Juljan Sobocki ze Słupcy Kaliskiej.

Mniej dokładne rozwiązania nadesłali: Jan Borowiec z Ostrowca, M. Braunszwajg z Warszawy, Gałdyński z Leszna (wiersze), T. Michniewski z Grójca (wiersze), A. Tochowicz z Sosnowca, Stan. Tomaski z Moskwy, Halina Szczygielska z Warszawy (rozwiązanie najwcześniejsze).

Nagrodę 1-szą (książkę) otrzyma p. Czudowski z Brześcia Litewskiego — 2-gą (książkę) p. W. Niepokojczycka z Warszawy, — 3-cia (pocztówki) p. M. Jerycho z Lublina.

Nagrody odbierać można w Redakcji (Mazowiecka 5) codziennie od g. 12-3 i od 5-7. *War.*



P.p. Józefostwo Rentlowie obchodzą brylantowe gody w gronie rodziny i zaprzyjaźnionych osób z wybitnych sfer naszego przemysłu i kupiectwa.

HYGIENA PIĘKNOŚCI.

Chcę dzisiaj przesłać Szanownym Czytelniczkom moim kilka uwag i rad, mających na celu zabezpieczenie się o ile to możliwe i pozbycie się plagi sezonowej, nawiedzającej wiele pań i szpecących najładniejsze cery. Chcę mówić o piegach.



Laleczka.

Są lekarze, którzy przypisują piegi zbytniej ilości żelaza we krwi — ma ono własność wywoływania pigmentu skóry, czyli piegów. Inni utrzymują, że piegi są właściwością organizmów wątłych o wadliwym krwioobiegu. W każdym razie można zapobiegać rozpanoszeniu się tej przypadłości oraz leczyć ją bardzo skutecznie sposobami poniżej przytoczonymi.

I tak: w celu zapobiegawczym należy przez całą wiosnę i lato myć twarz zawsze na noc mydłem przetłuszczanem leczniczem ogórkowem, po wytarciu zwilżyć lekko twarz spirytusem ogórkowym. Rano nie myć, tylko natrzeć trochę kremu ogórkowego, zapudrować pudrem hygienicznym, doskonale izolującym cerę od wpływów zewnętrznych, pozatem unikać silnych promieni słonecznych i wiatru, nosić stale gęstą ciemno-kremową woalkę, która nie jest coprawda awantażowną dla podniesienia urody, ale zapobiega piegom stanowczo. Skoro już jednak wypadnie leczyć, silnie rozwinięte piegi — to zdaniem mojem, opartem na dużem doświadczeniu, najlepiej to czynić za pomocą dawno już znanego środka, zwanego Lanol, wyraźnie Lanol, nie mającego nic wspólnego z Lanoliną. Jest to krem — jest go 3 numery. Trzeba go stosować na noc, wetrzeć dobrze krem № 1 — po zużyciu № 1 — przejść do 2, następnie do 3 — zwykle jedna serja wystarcza dla pozbycia się piegów. Poza Lanolem dobry jest krem D-ra Orgley'a oraz krem Psyche i zasługujący na specjalne wyróżnienie krem Precioza. Ze środków zagranicznych — a jest ich dziesiątki, — najskuteczniejszym jest Lait Antephêlique. W tem jak we wszystkiem mającem łączność ze skórą na twarzy, trzeba sobie dobrać ten środek, który nada się najlepiej do gatunku cery. Przy każdej z tych kuracji trzeba stale zachować powyżej wymienione środki zapobiegawcze.

Marcèle.

Vedrines.

Znany francuski lotnik Vedrines uległ katastrofie podczas lotu Douai-Madryt, spadłszy z aparatem na tor kolejowy pod Epiney.

Aparat został strzaskany a nieszczęśliwy poranił się ciężko i walczy jeszcze ze śmiercią, choć lekarze czynią nadzieję utrzymania go przy życiu.

Vedrines jest jednym z najpopularniejszych lotników we Francji, co zaakcentowało się wyraźnie podczas słynnej agitacji wyborczej, gdy w kilku prowincjach zyskał kilkadziesiąt tysięcy głosów. Było to przed kilkomą tygodniami niezwykłą sensacją i nikt wówczas nie przypuszczał, że szczęśliwy popularny kandydat wkrótce walczyć będzie nie o miejsce w parlamencie lecz... ze śmiercią.



Znany lotnik **Vedrines** rusza na swym aeroplanie w nieszczęsną podróż.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie z odnoszeniem do domu, rocznie rb. 4.—	półr. rb. 2.—	kwart. rb. 1.—		Numer pojed. kop. 10,
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt. „ „ 4.60	„ „ 2.30	„ „ 1.15		halerzy 25.
Za granicą i za oceanem „ „ „ 5.—	„ „ 2.50	„ „ 1.25		
W Austrji i Galicji „ „ „ 12 kor. 50 h.	„ 6 kor. 50 h.	„ 3 kor. 30 h.		Zmiana adresu—20 k.

Prenumeratorowie przybywający od II-go kwartału otrzymują początki drukujących się powieści; opłacającym prenumeratę za I-szy kwartał, wysyła się komplety pisma. Prenumeratę przyjmuje Administracja „ZŁOTEGO ROGU" w Warszawie **Mazowiecka № 5,** wszystkie poważniejsze księgarnie i biura dzienników.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 2 str. okładki, przed tekstem (wiersz petitowy) 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 kop. Reklamy—40 kop. Ogłoszenia na kolumnach bez tekstu i na 3 str. okładki 20 kop. Na 4 str. okładki—30 kop.

Redaktor przyjmuje w sprawach literackich i artystycznych w soboty od godz. 5 do g. 7 wieczorem. Redakcja otwarta od g. 12 do 3 po poł. i od g. 5 do 7 w. Administracja otwarta od g. 10 rano do g. 7 w.

Przedstawicielstwo na Łódź: Biuro dzienników „Promień".

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa." Redaktor **Walenty Zieliński.** Sekretarz Eustachy Czekalski.

Klisze wykonał zakład R. SAWICKIEGO, Wspólna 45. Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.